ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Lipca Ner 28. Roku 1843.

JAN JERZY WEIHERT.

POWIASTKA HISTORYCZNA 1656—1658.

(Dokończenie.)

VI.

Przy małym okrągłym stoliku, który bogaty holenderski pokrywał obrus, siedział w obszérném krześle pięćdziesiąt-letni mężczyzna. Twarz jego była blada, oko duże błękitne, lecz bez wyrazu i duszy. Na wązkiém czole głębokie rozbiegały się marszczki, wąs siwy, z-lekka zakrzywiony, stérczał nad wypukłémi bladémi ustami; strzępiasta hiszpańska bródka pokrywała na dwoje rozdzielony podbródek, a ogromna ciemna peruka, według mody z czasów Ludwika XIII. trefnie ułożonémi kędziorami zbiegała na bogaty adamaszkowy robron francuzkiego kroju. Tym mężczyzną byłto Jan Kazimiérz, monarcha, o którym słusznie jeden z naszych poetów wyrzekł—iż pod nieszczęśliwą urodził się gwiazdą. W młodości — kardynał, później — żołniérz, daléj — jeniec, wreście — król, zakończył życie na cudzéj ziemi — opatem. W żadnym zawodzie nie smakując, każdego pragnął doświadczać. Przeznaczenie wyniosłszy go na tron polski, za cel miało zdaje się, aby nim Polskę, a jego polską udręczyć koroną: któryż bowiem z monarchów Lechii, więcéj był od niego nieszczęśliwym?... który, prócz ostatniego?..

Obok piątego Kazimiérza, na miękkich sparta poduszkach, naléwając z śrébrnego naczynia w porcelanowe filiżanki kawę, spoczywała w ogromném krześle Maryja Ludwika z domu Gonzagów de Nevers, małżonka po kolei dwóch królów braci. Byłato trzydziesto-letnia, średniego wzrostu, nieco nazbyt otyła, lecz jeszcze piękna kobiéta. Twarz jéj, jak zwykle po niedawném obudzeniu, lekki powlékał rumieniec; gęste czarne włosy familijnéj Gonzagów miękkości i blasku, ocieniały wysokie i białe czoło: na niém najbaczniejsze oko ni jednéj nie dojrzało marszczki. Ktoby sądził, iż życie królowéj w ciągłéj rozkoszy i szczęściu spłynęło; a przecie jakże było inaczéj!... Młode jéj lata przeszły w troskach... miłość zawiodła... piérwszy i najmilszy kochanek zginął na rusztowaniu. Łez jeszcze nie otarła po nim, a już duma familii, rozkaz monarchy, rzuciły ją za żonę chorowitemu i kapryśnemu królowi. Wdowa po nim, oddała rękę szwagrowi—teraźniejszemu monarsze. Prawda, że nad słabym jego charakterem miała przewagę, że ona istotnym Polszcze królem była; lecz korona téj krainy jakże nieraz gniotła jéj czoło!..

Po za krzesłem królewskiém stał wielki marszałek koronny — Jérzy Lubomirski. Wzniosła postawa, czoło pochmurne, nos orli, dumne ciemne oko, zwiastowały charakter tego magnata, co nie wahał się w źle zrozumianéj gorliwości o dobro kraju, zakłócić go wkrótce potém wojną domową. Przy nim, lecz za krzesłem królowéj, stał biskup Olszowski—kapłan dworzanin. Wieczny uśmiéch zdało się przylegał do bladych ust jego, w oku wybijała się dusza żywa, niespokojna, chytrość obłudnika z układem ministra złączona; przymioty, które ubogiego parocha, potomka częściowéj szlachty wieluńskiéj, naprzód biskupią infułą, późniéj podwójnym arcy-biskupim krzyżem i kardynalską ozdobiły purpurą. Trzecim z przytomnych był znany z dziejów przeor jasnogórskich Paulinów — Augustyn Kordecki. Chociaż pobożnie oczy w ziemię skłaniał, chociaż dłonią przebierał paciorki rożańca

zawieszonego u pasa, łacno każdy poznał, że ani ta dłoń do paciorków, ani szérokie barki do habitu stworzone nie były. Piérwszéj raczéj przystałaby szabla, drugim zbroja rycerska.

Dwaj hetmani koronni — Stanisław Potocki, wojewoda kijowski wielki i Stanisław Lanckoroński, polny, oparci na szérokich szablicach, stanęli po drugiéj stronie stołu w milczeniu. Oba dzielni rycerze, oba przywódcy tyszowieckiéj Konfederacyi, przemyślali być może teraz, jakby skuteczniéj zuchwałego Szweda wojować i wyprzéć z granic krainy.

Gdy kasztelan kijowski wszedł do komnaty, nizki, chociaż niezgrabny pokłon oddał obojgu królestwu. Jan Kazimiérz przyjął go uprzejmém skinieniem ręki i miłym uśmiechem, Maryja Ludwika łamanym polskim wykrzykiem:

»Dzień dobry panie regimentarzu, piérwszy raz zapewne wstaliśmy raniéj od ciebie? Jakież nam nowiny przynosisz?«

»Najjaśniejsza pani!« odparł z lekką dumą wojownik, »nie przystoi słudze bezpiecznie łoża zalégać, kiedy państwo czuwają. Mnie pierwszy brzask świtu widział już w obozie; z nowin... jedna tylko.« Tu podał królowi prośbę Warszyckich... Jan Kazimiérz przeczytał ją obojętnie i wyrzekł:

»Skrucha nieco za późna, a Bóg wié czy szczéra, kiedy ją biéda i bojaźń wyciska.«

Królowa ciekawie pochwyciła z rąk męża papiér, przeczytała żwawo, i miotając się po krześle, krzyknęła:

»Nie będzie z tego nic! na jaką zasłużyli, niechaj mają nagrodę. Poprzysięgli wierność Szwedom, niech czują słodycz ich rządów: czas też ukarać tę dumną szlachtę, co rozumie, iż z królem igrać może, jak dziecko z cackiem. Nie tak jest we Francyi!« i westchnęła ..

Jerzy Lubomirski czarne brwi zmarszczył, Czarniecki wąsa pomusknął. Nie postrzegła tego królowa, ale dostrzegł baczny Olszowski: coś monarchini z lekka do ucha poszepnął... mówiła wtedy: »Zresztą wiedzieć ci trzeba regimentarzu, iż uchwaliliśmy pochód na Warszawę; nie możemy zatém rozdrabniać ani trudzić armii bezpożytecznémi marszami. Wszakże tak panowie?«

Obaj hetmani w znak potwierdzenia, lekko skłonili głowami.

Czarniecki odparł:

»Droga niedaleka: cztéry mile nadłożyłbym tylko do Warszawy idąc, a zysk znaczny. Mniejsza pomoc Warszyckim, lecz rozbicie hufcu, albo nawet schwytanie Möllera, który pozostawiony spokojnie, łacno nasz pochód mógłby niepokoić. Za pomyślny skutek prawie mogę Waszéj królewskiéj Mości zaręczyć, zwłaszcza mając przy swym boku tego pana, byłego rotmistrza wojsk pretendenta szwedzkiego.«

Dokończywszy tych słów, przedstawił obojgu królestwu młodzieńca, nie skąpiąc mu pochwał, a zarazem wzmiankując za jaką cenę chce przejść na służbę Rzeczypospolitéj.

Król według zwyczaju, wahał się co czynić, królowa bacznem okiem zmierzyła rotmistrza... Złośliwe dzieje wzmiankują, że dorodny mężczyzna rzadko był obojętnym dla niéj: uśmiéchnęła się zatém, w ład przywiodła gęste pukle włosów spadające na czoło, i rzekła w niemieckim języku, kalécząc go z francuzka:

»A więc pan jesteś Niemcem?... lubię jego naród... jak bitny, tak jest wierny prawym monarchom. Ufam, że się nie odrodziłeś od charakteru twych ojców.«

»Najjaśniejsza pani!« odparł po francuzku młodzian: »Wasza królewska Mość nie zawiedzie się w dobrém o mnie mniemaniu. Walczyć za jéj sprawę najgorętszém było dla mnie oddawna życzeniem, przelać krew dla niéj lub nawet życie utracić, niczém dla mnie będzie.«

Królowa ucieszona francuzkim językiem, i pochlebną odpowiedzią rotmistrza, zarzuciła go tysiącem zapytań, na które starał się skromnie, ale z dwornością wyższe cechującą wychowanie, odpowiedzieć; przy czém nie zaniedbał wspomnieć o szlachetnym czynie Jadwigi w uwolnieniu go od pewnéj śmierci. Zakończył zaś następnemi wyrazami swoją rzecz:

»Najjaśniejsza pani! pojmujesz teraz, jak świętym dla mnie obowiązkiem jest wdzięczność, ile winieniem Waszą król. Mość błagać o zezwolenie panu kasztelanowi poniesienia wsparcia nieszczęśliwym, których

życie a przynajmniéj bezpieczeństwo od jednego Waszéj król. Mości słowa zależy?... Najjaśniejsza pani! chciéj je wyrzec... okaż zmiłowanie, i tyle dobroci, ile wdziękami niebo Cię obdarzyło!..«

»Lecz córka miecznika nierównie więcéj ma wdzięków i dobroci, a co nadewszystko jest młodszą; nie znam jéj, ale tak sądzę: nieprawdaż panie rotmistrzu?«

Rzeźwy rumieniec oblał lica młodziana.

»Od razu odgadłam, że w tém wszystkiém mały romans gra rolę. Jako kobiéta w pomoc przyjść mu powinnam«, i odwracając się żwawo do króla, co z Czarnieckim plan pochodu na Warszawę układał — dodała: »*Mon cher!* inaczéj być nie może. Pan Stefan sądzi, iż bez ujmy naszym planom, Möllera ścigać a nawet zwalić potrafi. Daj mu pozwolenie: zysk trzykrotny odniesiesz... naprzód, pokażesz poddanym, jak mało na osobiste baczysz urazy, powtóre oswobodzisz całkowicie te strony od Szwedów, a wreszcie pozyskasz żołniérza, którego szabla zapewne tak silną jak wymowa gładką.«

Wola żony była prawem dla męża, udzielił żądane pozwolenie, i w kilka chwil później Czarniecki z rotmistrzem, zaledwie mogącym ukryć swą radość, opuścili komnatę. — Zchodząc ze wschodów rzekł trąc ręce kasztelan:

»Gracko sprawy dopiąłeś, już zwątpiłem o niéj. O! co chce królowa to chce i król... teraz żwawo do dzieła, a oto plan mój. Wezmę moje pułki, sześć tysięcy ludzi, człek w człeka do pałaszy stworzeni, jak ryby do wody. Musimy oskoczyć Möllera, a jeźli można, przeciąć mu odwrót. Tobie powierzę regiment kopijników: żołniérz ciężki, lecz wprawny... Znasz drogę do Działoszyna, pośpiesz tam i od razu uderz na zamek: attak nie trudny, bo fosy w złym stanie. Ja wpół godziny najdaléj z piechotą i huzarami przybędę ci w pomoc. O ho! Möller nareszcie musi popaść w me ręce!..«

W pół godziny po téj rozmowie, już rotmistrz na czele dwu-tysiącznego oddziału śpieszył drogą ku Działoszynowi wiodącą. Mimo mocnego upału, rycerze polscy jakby nie czując znużenia, żwawo na dzielnych harcowali rumakach. Żadna zawada wstrzymać ich nie mogła, przesadzali płoty i rowy, czwałem obszérne stepy piasków mierzyli... O ćwierć mili drogi od miasta mały podjazd szwedzki zaszedł im drogę: pokonać go, jednéj chwili było dziełem. Cały regiment czwałem ku zamkowi pospieszył i właśnie do bramy przedmostowéj zbliżał się, gdy nagle w oddalu półtory mili może, usłyszano gęste rusznicze wystrzały, pomiędzy któremi huk armat kiedy niekiedy dworował.

»To pan kasztelan ucióra się z Szwedami«, wyrzekł z towarzyszy jeden.

»Ależ nie sposób... jechaliśmy szybko, gdy on wiedzie piechotę...« odparł zdziwiony młodzieniec.

»Nie żałuje koni pan regimentarz, a w razie potrzeby i piechotę na nie sadza. Już się to trafiło razy kilka« — była odpowiedź.

Zamek stał bez załogi, most nawet nie był zwiedziony, w baszcie broniącej go ni jednego żołniérza... Zaledwie przecież na obszérny dziedziniec wjechał z częścią rycerstwa dowódca, ziemia wstrzęsła się, i z trzaskiem, którego nie sposób opisać, zamek wysadzony minami, runął w zwaliny.

Gwałtowność wybuchu zwaliła na ziemię rotmistrza. Gdy po kilku minutach przyszedł nieco do siebie, jakiż straszliwy widok miał przed oczyma... Obok niego kilkudziesięciu żołniérzy zabitych lub okropnie spadłémi belkami i gruzem pokaléczonych tarzało się po ziemi; przed nim jedna część zamku w ruderze zaległa, drugą płomień ogarnął; z ruin zaś i z płomieni okropne wydobywały się jęki i wzywanie ratunku... Z kilku odważniejszémi towarzyszami poniósł rotmistrz nieszczęśliwym pomoc... Wtedy poznał całą srogą zemstę Möllera! Okrutnik uprzedzając napad Polaków, rozkazał wszystkich dworzan, miecznika i kasztelana, w różnych stronach zamku pozamykać i tak w powietrze wysadzić! Co się stało z Warszyckimi, żaden z ocalonych sług nie mógł wiedzieć z pewnością. Osadzeni w ścisłém więzieniu właśnie w téj stronie zamku, którą zrujnowały miny, niezawodnie znaleźli śmierć okrutną w zwalinach.

VII.

Dwa lata ubiegło... Lechija oswobodzona prawie całkiem od Szwedów została, a nawet

jéj hufce pod dowództwem Czarnieckiego, teraz już ruskiego wojewody, przedarły się aż do Holsztynu, niosąc przeważną pomoc duńskiemu królowi.

Nad burznemi Baltyku brzegami na przeciw wyspy Alsen, zalewem morskim ćwierć mili szérokim, przedzielonéj od lądu, na swoim dzielnym rumaku, stał wojewoda zajęty rozmową z niedawnym wrogiem a teraz drogo opłaconym przyjacielem — Wilhelmem Elektorem brandeburgskim.

Związkowe wojska, najwięcéj z jazdy złożone, széroko okólne pola zaległy... Na wyspie Alsen wrzała walka podjazdu brandeburskiego z hufcami szwedzkiémi. Na nie cała uwaga tak Elektora jak i Czarnieckiego była zwróconą... Oba wojska dzielnie walczyły; lecz brandeburskie orszaki przewyższającą naciskane siłą, coraz na miejscu i odwadze traciły. Elektor niecierpliwił się i zżymał; chciałby słać pomoc, lecz promy wstrzymał wiatr przeciwny u drugiego brzegu. Już Szwedzi hufce jego przyparli do morza, już zupełna porażka ich nieuchronną być się zdawała, gdy pobiegłszy do swego przybocznego regimentu Czarniecki, mocnym głosem wykrzyknął:

»Bracia! nie przeszkodziło Szwedom morze w napaści naszéj ziemi... czyliż ono ma nam zawadzać w ukaraniu zuchwalców?... Śmiało za mną! nie traćmy czasu, pokażmy, że odwaga nie potrzebuje mostu, fal się morskich nie zlęknie!..

Dorzekłszy słów tych, piérwszy skoczył w kipiące wody Baltyku. Jego przykład, znajomy nam rotmistrz naśladował, daléj kilku towarzyszy pancernych, wreszcie cała jazda polska z dwóch pułków złożona, przy głośnych wykrzykach: »Górą Czarniecki! wiwat Rzeczpospolita!...« w bezdenne morskie rzuciłą się fale.

Elektor brandeburski Montekukuli, dowódzca austryjacki i wielu oficerów sprzymierzonéj armii, dziwili się śmiałości sarmackich hufców.

Być może, iż surowo byłby ukaranym polski dowódca, za lekce-ważenie burznych odmętów Baltyku. Zimne fale drętwiły rumaki i jeźdzców, bezdenna otchłań pewną zgubą groziła, lecz los nie odstąpił ulubieńca swojego... powiał w téj chwili lekki wietrzyk zachodni, i promy u przeciwnego zatrzymane brzegu, szparko szybować w kierunku śmiałych pułków zaczęły.

»To istna pomoc niebios kochanku!« rzekł do towarzyszącego sobie młodzieńca wojewoda. »Dalipan, sądziłem, że moja krew gorąca narazi was wszystkich o zgubę, a oto inaczéj się stało. Hej! żwawo mościwi panowie! konie do nich przytroczyć, i na wyspę.«

Rozkaz wojewody w jednéj wypełniono chwili... i w kilka minut późniéj cały hufiec polski, jednego tylko towarzysza w przeprawie straciwszy, stanął na brzegach Alsen. Porażka Szwedów była zupełną, mała tylko ich liczba, zdołała schronić się do warownego zamku stolicy wyspy. Obległ go bezwłocznie Czarniecki.

*

Noc była burzliwa i ciemna, zimny wicher grudniowy dął silnie od strony baltyckiego morza, pomiatając tumanami chmur, co drobnym śniegiem biły po hełmach i zbrojach małego orszaku rycerzy, dowodzonego przez znanego nam rotmistrza von Wejhert.

Godzinę przeszło w najgłębszéj cichości spomniony orszak przedziérał się śród skał i zarośli, aż doszedł do ogromnéj opoki, na któréj zamek Alsen dumnie piętrował. Trzy dni nadaremnie oblegał go waleczny Czarniecki, wszystkie attaki dzielnego rycerza udaremnione były, mniéj szablą i odwagą szwedzką, jak raczéj niedostępném położeniem fortecy. Już nawet chciał znieść oblężenie, gdy znajomy nam rotmistrz ofiarował się śmiałym napadem od strony morza pobróbować szczęścia. Istotnie byłoto zuchwałe przedsięwzięcie: skały bowiem w tém miejscu prostopadle wznosząc się, niedostępnémi być się zdawały. Jedno poślizśnięcie, jeden fałszywy krok, mógł był udaremnić wyprawę: nie wstrzymało to przecież walecznego młodziana, wiedział, że na pewną szedł śmierć; lecz czyliż go ona straszyła? życie nie byłoż mu nudne, bolesne od dawna?... a to od chwili, kiedy okrucieństwo Möllera, z zniszczeniem Działoszyńskiego zamku, roztrąciło wszystkie jego nadzieje, wydarło cel starań i życia; zgon bowiem

Warszyckich niewątpliwym zdawał się. Przez dwa lata rotmistrz nie szczędził wszystkich usiłowań, aby się o ich losie wywiedzieć; nikt mu nie mógł dać najwątlejszéj nadziei, nawet jeńcy polscy w Szwecyi dręczeni, a którzy szczęśliwym trafem do rodzinnéj ziemi mogli byli powrócić.

Istotnie, — szczęście i dłoń boża wiodły rotmistrza w wyprawie teraźniejszéj. Po kwadransie niebezpiecznego wysilenia, po kwadransie trudów i znojnego wdzierania się na strome skały, ujrzał się nareszcie pod murami zamku. Nad jego głową wybijała się wysoka wieża; kilka w niéj tylko było okien żelaznemi zasłoniętych kratami, nagle w jednym z nich, przy mdłym blasku księżyca, który się właśnie w téj chwili z zaciemnych chmur wywinął, dojrzał młodzian wyciągniona rękę, potoczył się z niéj drobny sznurek, a do niego przytwierdzony papiér zaszemrał pod nogami rotmistrza. Zdjąć go i przeczytać, było dziełem jednéj chwili. W liście pisano:

»Od trzech dni z okien więzienia naszego, spostrzegamy was bracia!... Dla Boga! przyjdźcie na ratunek czémprędzéj!.. W wieży od strony morza, skałą zakryte znajdują się małe drzwi żelazne, nie obsadzili ich Szwedzi, bo pojąć nie mogą, aby kto bądź po prosto-padłéj skale mógł się do nich wedrzéć. Przejście tamtędy będzie łatwe, gdy już największa trudność przewalczona szczęśliwie. Śmiało i szybko przecież uskutecznijcie napad, gdyż Szwedzi grożą w razie niemożności obrony, wysadzeniem zamku w powietrze. Jest tu nas szlachty piętnastu — Jan Opaliński, brat wojewody, podkomorzy Mirosławski, dwaj bracia Warszyccy — kasztelan i miecznik z córką.«

Daléj rotmistrz nie czytał... Oko jego pałało radością... w sercu znowu nadzieja roztlała... Niespodziéwana a szczęśliwa wiadomość jednakże nie dała mu zapomnieć powinności żołniérza. Przytroczył do żelaznéj sztaby zamykającéj drzwi, długą supłami opatrzoną linę: za kilka chwil trzech żołniérzy bez szwanku dosięgło szczytu skały. Wkrótce za ich przykładem cały orszak pośpieszył, i brama silnémi ramionami parta, podsadzona szablicami i oskardami, otwarła się z szczękiem.

W wieży kilku Szwedów strzegło uwięzioną szlachtę, lecz napadnięci z nienacka, nie długi mogli stawić opór. W zamku nie określone zamięszanie powstało... Nagle ze snu obudzona załoga, w miejscu stawienia oporu Polakom, nie dbając na rady i zachęty dowódców, w wszystkie rozbiegła się strony, lub kryła się w licznych kurytarzach zamku. Na głównym dziedzińcu przecież jenerał Möller komendant załogi, zdołał wreszcie mały hufiec zebrać. Rotmistrz to ujrzawszy, poskoczył ze swoim oddziałem co żywo. Okrutny Szwed poległ w piérwszém natarciu: reszta załogi broń złożyła, przestraszona szczękiem broni i hukiem wystrzałów całéj polskiéj armii, co pod dowództwem dzielnego Stefana, w téj chwili nadbiegła pod mury Alsenu, aby korzystać z szczęśliwego napadu rotmistrza i jego towarzyszy.

*

W trzy tygodnie później, w jednéj z głównych sal zdobytego zamku, Czarniecki z miecznikiem Warszyckim żwawą zajęci byli rozmową. Przedmiot jéj musiał być ważny, bo wojewoda przeciw zwyczajowi swojemu zdobywał się na piękne słówka, i jednym ciągiem kilka minut prawił. Było to największą ofiarą i wysileniem człowieka, który częściéj szablę niż język miał w ruchu. Na wymowne jego słowa, skłaniając siwą głowę, odparł miecznik poważnie:

»Wstawienie się waszéj miłości panie wojewodo i bracie, jest dla mnie zaszczytne i miłe. *Verbum nobile* daję ci, rotmistrza von Wejhert szacuję i kocham niby rodzonego syna. Wszakże wiesz, ile mu jestem winien... podwójnie życie własne i honor méj córki. Ależ mościwy panie bracie, oddać mu moją Jadwigę! inna rzecz... Dalipan! ja szlachcic z dziada pradziada, mogę ci pokazać nasze genealogiczne drzewo, ani jednéj na niém skazy... wszędzie krew czysto polska szlachecka... chceszże więc, abym ujmę przyniósł pamięci mych przodków?... krew ich mięszał z cudzą, zagraniczną?..«

»Ależ rotmistrz von Wejhert jest szlachcicem i to dobrym starym szlachcicem w swym kraju, sam czytałem jego dowody.

»Cóż to wszystko znaczy?.. U nas dziedzic

na zagrodzie, równy wojewodzie; ale ich wojewoda, dalipan mosanie! aż strach bierze pomyśléć...«

»Lecz gdyby rotmistrz został polskim nobilitowanym szlachcicem?..« zagadnął nieco żwawo Czarniecki.

Miecznik potarł dereszowatą czuprynę i wyrzekł:

»Wtedy mospanie wojewodo i bracie! wtedy... no wreszcie... co innego byłoby. Wczorajszy nasz rodowity szlachcic więcéj u mnie znaczy, niż przedpotopowe zamorskie książątko. Jednak długieto z indigenatem korowody. Nie wątpię o wadze wpływów aszmości; lecz chciéj sobie przypomniéć, ile to czasu i kłopotu kosztowało Batorych, zanim rodzinny węgierski klejnot pomiędzy polskie zaszczyty wpisali?..«

»Jeżeli tylko o indygenat rzecz idzie, to chciéj zobaczyć waszmość.« — To rzekłszy Czarniecki, wydobył z za-nadrza pargamin: Warszycki rozwinął go szybko i znalazł nobilitacyją rotmistrza.

»Jakże więc?..« zagadnął Czarniecki.

Miecznik pasa poprawił, wąs pogłasnął, oko jego zabłysło radością... największa przeszkoda w połączeniu córki z rotmistrzem runęła... Przecież aby etykiecie szlacheckiéj nie chybił, pragnął nowe dawać pozory i wyrzekł:

»Ależ mości dobrodzieju! to dobrze... bardzo dobrze... przecież nie wiém czy moja dziéwczyna zezwoli?... Wiész aszmość dobrodzieju miły! niewiasty mają częstokroć dziwne kaprysy...«

»Gdzie tam mospanie mieczniku! niechaj tylko pan młody będzie gracki, rycerski i nie dereszowaty jak my... każda panna mile patrzy na niego!... Ależ przekonać się możem... zechciéj przywołać twą córkę, ja wezwę rotmistrza.«

Brzęknął po klindze szablicy... widać, że to był znak umówiony, bo natychmiast rotmistrz stanął w komnacie: za chwilkę była w niéj i Jadwiga.

*

Nazajutrz, jak się należy spodziéwać, pan Czarniecki wiódł państwa młodych do ślubu. Na biesiadzie zaś niezbędnéj przy podobnych obrzędach, kiedy już wino szumiało nieco w głowie, a nowożeńcy oddalić się chcieli, wydobył z zanadrza dwa pargaminy: jeden mianował rotmistrza Wejherta—obersztérem przybocznéj gwardyi króla Jegomości, drugi nadawał mu bogate starostwo brzeznickie. Młoda para z miecznikiem pospołem rzucili się w objęcia bohatéra, ocierając łzę w oku wijącą... Wyrzekł on żwawo:

»Bah! i za cóż jest tu dziękować?... Zrobiłem co słuszność nakazywała. Gdyby nie było nagrody, nie byłoby bodźca do szlachetnych czynów: ależ słuchaj panie obersztérze! a raczéj piękna jego żono! Nowina jaką wam powiém, pewnie miłą będzie... Daję panu obersztérowi urlop półroczny: czas to miodowy związków małżeńskich, miléj wam zejdzie na łonie pokoju w Krakowie, niż w krwawych Marsa gonitwach. Zatém jutro już w drogę, bo po sześciu miesiącach — na koń panie bracie! jak Bóg trakt pokaże, a honor i powinność wezwie, robota się znajdzie!...«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 28. i obejmuje: 1) O pożytkach z perzu. 2) Rzut oka na gospodarstwo tutejszo-krajowe w ogóle, w szczególności zaś o obecném położeniu dzierzawców i ich stosunkach do kraju. 3) Uwagi nad paszeniem bydła zieloną koniczyną. (Dokończenie). 4) O chodowaniu karpiów, przeznaczonych na rozpłodek. (Dokończenie). 5) Wiadomości czasowe: *a*) Jak potrzeba się obchodzić ze zbiorem jęczmienia. *b*) Środek niezawodny nabrzękłość od siodła na koniu, bez dalszego szkodliwego dlań wpływu, rozpędzić. *c*) Czyszczenie masła dla zachowania go od zepsucia lub zgorzknienia na kilka lat. *d*) Sposób przyrządzenia wosku angielskiego, dającego połysk na drzewie. *e*) Przestroga dla owczarzy. *f*) Jak stal ze rdzy oczyścić.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 15. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Lwica, z obrazu Francuzów, przez L. B. 2) Kilka słow o wiedeńskiej wystawie obrazów.

Pani Eleonora Sztyrmer z nową wystąpiła powieścią, którą nadesłała do *Athenaeum* Kraszewskiego. Tytuł powieści: *Dusza w suchotach*. Kraszewski wezwany od autorki, aby objawił swoje zdanie, zarzuca tej powieści niemoralność i fatalizm. Wydawca »Tygodnika Petersburskiego« nie podziela tego zdania. Z tem wszystkiem pani Sztyrmer jest rzadkiém u nas zjawiskiem.

Z Warszawy. Wyszło z druku dziełko: *Sposoby wyprowadzenia wilgoci wszelkiego rodzaju zabudowań, ostrożności przy konstrukcyi nowych budowli dla ochronienia ich od wilgoci. Oraz o budowie kominów, pieców i o środkach zaradczych przeciwko dymieniu*, przez Bleichrodta, jeneralnego Inspektora budowli w Księztwie

S. Rudolstadt, podane przez Winc. Józefowicza, magistra filozofii, profesora jeometryi stósownéj i miernictwa w Instytucie Gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie. — Tamże opuścił prasę romans Pawła de Kok, pod tytuł.: *Piękna dziewczyna z przedmieścia*, stanowiący pierwszy oddział *Nowéj biblijoteki romansów*. — Wkrótce wyjdzie na widok publiczny pismo Poujoull'a, jednego z celniejszych pisarzy Francyi, pod tytułem: *Wspomnienia Rzymu*, przełożone na język polski przez Zenonina Ancyporowicza.

Mody. Wszystkie mody idą z Paryża, a o Paryżu można powiedzieć, że jest jedyne miasto w Europie, które wcale nie zna i nie ma mody. Tam przyjść do składu kapeluszy mężkich lub kobiécych—bo na téj części ubioru najbardziej wybija się moda — to okaże się, że każdy niemal kapelusz jest inny. Po balach, po spacerach publicznych, widać suknie wszelkiego kroju na ludziach płci obojej. Miła jest ta rozmaitość, dowodzi ona wolności i niezawisłości ducha, wzgardy dla naśladownictwa. U nas młodzi ludzie wyglądają na zgromadzeniach i zabawach jednakowo, jak piechota w jednéj linii ustawiona. Są to sami niewolnicy, którym na czole wybija się uległość dla samodzierczéj mody. — Z Paryża tedy, gdzie nie ma mody, rozlewa się moda po całym świecie w ten sposób. Ponieważ każdy ubiéra się podług swéj fantazyi, lub wygody, dla tego często pokaże się coś odmiennego, niewidzianego. Redaktorowie pism krawieckich donoszą o tém swoim czytelnikom. Pisma odleglejsze od Paryża roztrębują echo po Europie i po-za Europą. Ogłoszenie mody skoro wyjdzie po-za Francyją, zaraz z prostej nowiny staje się ustawą. Ryciny nadają modzie przywiléj i są dopiéro takiem zatwierdzeniem ustawy, jak niegdyś była pieczęć kanclerska na pismach wydanych od króla. — W Paryżu są ludzie, którzy się trudnią i wymyślaniem mody. Nie robią oni tego całkiem na oślep. Starzy Polacy powiadali, że opiekunem mody był czart, że miał beczkę, w któréj pakował różne szaty, a skoro była napełniona, to ją wysypywał i co było na spodzie, to zostało na wierzchu i mody znów przechodziły dawną koléj.—To zupełnie fałszywe postrzeżenie. Mody wracały się niekiedy, ale rzadko. Miały one główną podstawę w stosunkach z różnemi narodami, a mianowicie we wojnach. W podróżach czépiały się Polaków mody zachodniéj Europy, a we wojnach oryjentalne, a mianowicie tatarskie lub tureckie. Zależały więc zmiany w ubiorach czyli mody od ważnych okoliczności, bo od stosunków politycznych. To samo i dziś się dzieje, lubo w inny sposób. Ci, co wymyślają mody, nie podróżują, ani nie wojują, ale czytają gazety po kawiarniach i na nich osadzają swoje jenijalne pomysły. Podczas wojny greckiéj bufchate rękawy i nogawki odpowiadały czasowi. Jeżeli wolność we Francyi robi postęp, natenczas kolor czerwony znajduje sympatyją. Śmierć człowieka wielkiego wpływa narzuca kolor czarny. Na balach téj zimy, w północnéj Europie mężatki czarno nieraz stroiły głowę i nie wiedziały, że po księciu Orleańskim tak późno się wybrały z żałobą. Mód nie widać w Paryżu, ale tam się rodzą i tam są ludzie, którzy je wymyślają, a przytem tylko na kieszeń zagranicy obliczają. Wchodzą nieraz w zmowę z fabrykantami materyi, kupcami, krawcami i znakomitémi osoby, które swoim ubiorem dają powód do rozkrzyczenia po świecie, że teraz jest taka i taka moda. Najgłówniejszemi autorami mody są atoli ludzie płytkiego przemysłu; jak fryzyjery, golibrody, pedikury to jest ci, co elegancko paznokcie obcinają, fabrykanci i handlarze pachnideł i rozmaici im w zatrudnieniach podobni. — W Anglii lud ceni wysoko lorda, kiedy żyje stósownie do dochodów, kiedy sprawia wiele pojazdów, sprzętów i rzeczy kosztownych. Mówią, że on robi jak powinien, bo wspiera przemysł. Nasi salonowi filozofowie, którychto starzy Polacy bardzo pięknie nazywali: »Jaskrawemi łebkami«, z téj saméj zasady bronią mody. Ale rozumniejsza część narodu uzna, że społeczeństwo obejdzie się bez ludzi, którzyby w jego organizmie grali tylko rolę brzucha. Każdy ma produkować w któréjkolwiek sferze. Porzucać więc suknią dobrą w Polszcze dla tego, że inną wymarzył jaki fryzyjer paryzki, jestto marnotrawić rzecz swoję i owoc pracy społecznéj. Ale na szczęście mody coraz mniéj mają wielbicieli i dziś zawracać sobie głowę modą, jestto dowodzić tylko czczości umysłowéj. Ludzie, co nad drugich celują suknią, rzadko zacelować potrafią głową.

Nowy ważny wynalazek w rolnictwie. Na posiedzeniu agronomów w Düsseldorfie, rozwodził się jeden członek tego towarzystwa bardzo pochwalnie o nowém bardzo ważném odkryciu pana Bickes, które bez zgnojenia pola bogate plony zapewnia. Cała tajemnica polega na tém, aby miasto ziemi, ziarno do wysiewu zwilgotniać. W końcu posiedzenia uchwalili członkowie, aby zanieść prośbę do króla, iżby to odkrycie stało się własnością całego kraju.

Dagerotypy Fleiszera. Niedawno temu, jak Daguerre oznajmił nam swój wynalazek. Wiadomo, że dagerotypy dają tylko ciemne rysy zdejmowanych przedmiotów. Żywéj gry farby, którą przedmiot na oko działa, nie można było dotąd przenieść na płytę najodowaną. To powiodło się nareszcie pomiędzy innemi wielu, szczególniej panu Fleiszer w Wiedniu, który kolorowe uzyskuje dagerotypy.

Namiętne zamiłowanie. Drugiego dnia podczas rewolucyi lipcowéj, gdy się grom dział rozlegał, gdy ziemia drżała, gdy lud z ulic bruk zrywał, stało, jak opowiada Jules Janin, dwóch ludzi w szarych czapkach pod mostem zwanym *Pont-neuf*. Woda była przeźroczysta, most ocieniał miłym chłodem obudwu, oni stali spokojnie nie troszcząc się o świat cały, nie troszcząc się o to, co się w téj chwili w około nich działo, oni stali w miłém zadowoleniu — i — łowili rybki wędką.

Smala Abd-el-Kadera. *Smala*, czyli raczéj *Zamalat* lub *Zmalah*, znaczy tyle, co u nas dom, to jest rodzinę i krewnych. U Emira, jakim był Abd-el-Kader, znaczy dwór, to jest orszak z osób wyższego i niższego stopnia, które Abd-el-Kadera otaczają. Że królewicz francuzki na dniu 16go maja wziął tę świtę w niewolę, jestto ważnem zdarzeniem równie dla Afryki jak i dla Islamizmu. Gdyby Arabowie byli jeszcze mieli jaką literaturę, jakieś ognisko, jak dawniéj Bagdad, ten z chyżością orła wykonany napad pomnożyłby cudowne powieści *Tysiąc nocy i jedna* o nową bajkę, w któréj królewicz niewiernych, wsparty czarnoksięztwem i złemi duchami, leci powietrzem i porywa królewiczów i królewne sułtana prawowicrnych. Ale Arabowie nie mają teraz ani piśmiennictwa, ani umiejętności, ani sztuki, nie zdolni przeto ani wystawić zdarzeń w takiem świetle, w jakiem się okazują, ani téż je wywoływać i przywieść do końca na rzecz swojéj narodowości i rodzinnego kraju. Czemuż tak groźny niegdyś na Wschodzie i Zachodzie islamizm nikczemnieje i upada? Ponieważ ów czas, w którym dzika siła mas wielkich, nie kierowana duchem umiejętności i sztuki piérwszeństwo brała, już przeminął, już niepowrotnie przeminął! Samo natchnienie zabobonu niegdyś tak potężne, nie chroni teraz ani Arabow i Turków,

ani też Chińczyków i Afganów przed garstką Europejczyków, którzy zbadawszy tajnie natury korzystają z owoców pracy swojej. Ztąd idzie, że przeciw temu samemu Abd-el-Kaderowi, którego zagorzała zabobonność na tron Emirów wyniosła, któremu wiele miast nowych i starych czołem biło, że przeciw niemu samemu ciż sami Arabowie walczą w szeregach francuzkich z dzielnością synów puszczy. Ztąd idzie, że ten, co władał rozległym krajem i wielą miastami, musi wraz z swoją rodziną i dworem uchodzić i tułać się w puszczy, jak niegdyś emirowie i szejkowie w biblii. Przyszło nareszcie do tego, że 500 znużonych jezdców pod dowództwem młodzieńca w pierwszej porze wieku, zabrało ową *smalę*, podobnie jak się porywa młode drapieżnemu zwierzęciu, chociaż siłę pięćset krotną można było odeprzeć pięć tysięczną. Abd-el-Kader był wprawdzie szczęśliwszym jak Daryjusz nad rzéką Issus, wyratował bowiem swoję matkę i żonę, to jednak nie wstrzyma jego upadku. Ci ze znakomitych naczelników, którzy się wraz z swojemi żonami i dziećmi w jassyr dostali, zmuszają go do zaniechania dalszych planów, podczas gdy wyniszczenie jego majątku nie dozwala mu w nowe obrończe zaopatrzyć się siły. Jeźli każden przyjaciel postępu ludzkości widzi w klęsce Abd-el-Kadera szczęśliwe zdarzenie, to z drugiéj strony należy dziękować Opatrzności, że pochylonemu wiekiem i niedawném nieszczęściem ojcu, nową wlała pociechę w owdowiałe serce, dozwalając jego synowi tak świetném okryć się zwycięztwem. I sam nieszczęśliwy Emir godzien powszechnego spółczucia i czci powszechnéj. Ścigany jak dziki zwierz, nadstawiał w najnowszych czasach piersi swoje w obronie narodowości, domowego ogniska i praojców wiary, i możnaby mu było nie zawiścić zwycięztwa, gdyby w tak pięknéj sprawie także intelligencyi mógł był użyć ku pomocy i swoim staraniom moralną nadać podstawę.

Walka szczura zwanego Mungoz z gadem *cobra capella*. Pewien oficer od marynarki bawiąc w Kalkucie, był świadkiem nadzwyczajnéj walki między *cobra-capella*, strasznym i zjadliwym gadem Indyj Wschodnich, a między tak zwaném *mungoz* z rodzaju szczurów. Walka ta odbyła się na wolném miejscu, otoczoném w około gęstą żelazną kratą. Przed otworem u téj kraty, postawiono ogromny kosz, w którym gad *cobra-capella* był zamknięty, potém odjęto wierzch kosza, gad zdraźniony wpełznął za kratę, poczém otwór zamknięto. Tu czołgał się w około kraty, ale nie znalazłszy otworu do ucieczki, spoczął w jedném miejscu, podnosząc czasami w górę różnobarwnie mieniącą się głowę, jak gdyby chciał się ubezpieczyć od jakiegoś niebezpieczeństwa. W kilka minut potém puścił Indyjanin szczura *mungoz* w obwód kraty. »Zdziwienie moje«, pisze tenże oficer, »było nadzwyczajne. Nigdy przedtém nie widziałem *mungoza*, spodziéwałem się ujrzeć ogromne zwierzę, któreby mogło zapuścić się w walkę z tak strasźliwym gadem, a teraz ujrzałem źwiérzątko mało co większe od europejskiego szczura, które się tylko żywością małych czerwonych oczu i długim ogonem odznaczało. Zwierzę to przebiegało obwód śmiało w różnym kierunku i zdawało się nie zważać na swego przeciwnika, który zaraz od piérwszéj chwili zabijający wzrok w małe źwiérzątko utkwiwszy, gotował się do walki, a gdy postrzegło, że gad czeka tylko natarcia, rzuciło się nań obcesowo. Podziwu godna była odwaga tego małego źwiérzęcia, zdawało się jednak, że go gadzina w sztuki rozerwie, oczy jéj bowiem ciskały płomienie, a głowę z grzebieniem krwią zaciekłym podniosła do góry na trzy stopy. I tak się téż stało: gad odparł natarcie szczura *mungoz*, zadawszy mu głęboką ranę i cisnąwszy nim gwałtownie daleko od siebie. Małe stworzenie drżało na całém ciele, zdawało się, że śmiertelną odniosło ranę, słabło coraz bardziéj, lecz czołgając się po ziemi, zaczęło trzeć pyszczkiem o jakieś ziele rosnące tu i owdzie w obwodzie, zdawało się nawet, że to ziele połykało, lecz jakieto było ziele, pomimo starannych poszukiwań i nagród wyznaczonych na odkrycie, zostało dotąd tajemnicą. Po niejakim czasie zaczęło do sił przychodzić i z większą jeszcze jak piérwéj zaciekłością rzuciło się na gadzinę. Ta nękasiwszy go powtórnie, rzuciła nim znowu od siebie. Podobna scena powtórzyła się siedmkrotnie, ale w każdéj walce słabła już widocznie gadzina, podczas gdy *mungoz* pomimo wielu ran, coraz więcéj sił nabiérał, tak, iż przy końcu wpił się w gardziel gadziny *cobra-capella*, która nie dając żadnego odporu, jak długa legła na trawie bez życia.«

Okropna chwila. Pewien kupiec w Hamburgu sprawiał córce swojéj wesele. Pięknie postrojone dziéwczęta, świeża, nadobna panna młoda, wesołe grono życzliwych gości, wszystko to napełniało radością serca ojca, który się nieustannie krzątał, aby téj uroczystéj chwili nadać wszelkiéj okazałości. Gdy z nadejściem zmiérzchu wyszedł był z sali balowéj, aby niektóre poczynić rozporządzenia, idąc długim kurytarzem, spotyka służącę niedawno co ze wsi w służbę przyjętą, która zapaloną świécę bez świecznika w ręku niosła. Ofuknąwszy ją za tę niedbałość, sam wstępuje do pokoju żony, dla pomówienia z nią o zarządzeniu wieczerzą, powraca znowu i widzi tę samą służącę idącą z piwnicy z kilkoma flaszami wina, ale bez świécy w ręku. Widząc to, przychodzi mu nagle na myśl, że tegoż samego dnia złożono w téj piwnicy kilka beczek prochu, i że jednę beczkę już rozpoczęto na potrzebę sklepową. »Gdzieżeś podziała światło?« pyta drżącym głosem.—»Nie mogłam wziąć z sobą, bo mam dużo flaszek w ręku.« — »Ale gdzież, gdzież jest?« — »Wetknęłam w beczkę z czarnym piaskiem.« — Kupiec jakby piorunem rażony, pobladł na twarzy, oddech zaparł mu się w piersi, kolana zaczęły pod nim dygotać; gnany przestrachem, że go śmierć wraz z rodziną schwyta, leci długim, ciemnym kurytarzem, wbiega do otwartéj piwnicy, i widzi właśnie pod ową salą, gdzie państwo młodzi i goście weselnéj oddawali się radości, aż po wierzch napełnioną prochem beczkę, a w jéj otworze zatkniętą świécę, z któréj dobrze nadpalonego, długiego knota czerwoniawy płomień się wymykał. Na ten widok skamieniał, włos mu najeżył się na głowie, gdy pomyślił, że te wesołe śmiechy, które się na górze nad nim rozlegały, za lada iskierką wiecznie zaniemieć mogą. Przez długą chwilę stał zmartwiały, wlepił obłąkane oko w gorejącą świécę, nie mógł ani krokiem daléj postąpić. W téjże chwili jeszcze głośniejsza zagrzmiała muzyka na górze, taniec rozpoczął się z taką żywością, że podłoga zadrżała a flaszki w piwnicy zadzwoniły. Już myślał, że świéca spada w otwór — w rozpaczy przystępuje do beczki, bierze świécę w obie dłonie, wgniata ją pomiędzy palce i wyjmuje szczęśliwie z beczki. Co śpieszniéj wylatuje z piwnicy, biegnie kurytarzem, ogień pali mu rękę, on na to nie zważa, biegnie daléj, w końcu kurytarza pada omdlały na ziemię, dostaje potém gwałtownéj gorączki, z któréj dopiéro po kilku tygodniach przychodzi do zdrowia.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.